

Kosztowne opium dla mas

4 sierpnia 2013

Sport zawodowy to współczesna, skomercjalizowana i szkodliwa religia oraz esencja współczesnych modeli biznesowych, polegających na temporalizacji i eksternalizacji. Zyski są prywatne, koszty publiczne. A płacić muszą także sportowi ateści.

Zakończony niedawno w Brazylii Puchar Konfederacji – zazwyczaj mało istotna i niezbyt medialnie nośna rozgrzewka przed Mistrzostwami Świata w piłce nożnej – wzbudził spore zainteresowanie. I to nie dlatego, że reprezentacja gospodarzy, w przeszłości uważana za bogów futbolu, zmiotła w finale reprezentację Hiszpanii – współczesną reinkarnację herosów piłki, ale dlatego, że w baśniowym, opierającym się w dużej części na mitach świecie futbolu pojawiły się zgrzyty i twarda rzeczywistość. Sprzeczna z tradycyjną narracją towarzyszącą zazwyczaj wielkim wydarzeniom piłkarskim. Brazylijczycy w egzaltowanych opowieściach komentatorów sportowych to przecież naród piłką nożną żyjący, oddychający piłkarskim powietrzem, modlący się do zawodników. Społeczeństwo rozkochane w futbolu od pierwszego do ostatniego obywatela, w którym piłka nożna należy do artykułów podstawowej potrzeby, jak ryż dla Japończyków, kanapka z bekonem dla Brytyjczyków i obraz Karola Wojtyły dla Polaków. Tymczasem brazylijskie społeczeństwo, zamiast wyjść na ulice i pokazywać piłkarską sambę, tak miło i egzotycznie wyglądającą w telewizorze, wyciągnęło transparenty: „Stadiony z pierwszego świata, szpitale i szkoły z trzeciego”, „Chcemy służby zdrowia i edukacji według standardów FIFA”, „Mamy już stadiony, teraz wybudujmy wokół nich państwo”, „Profesor jest więcej wart niż Neymar”.

Złość Brazylijczyków jest zrozumiała. Przygotowania do Mistrzostw Świata w piłce nożnej kosztowały trzykrotnie więcej, niż planowano. Miały być one źródłem dumy narodowej

oraz wizytówką Brazylii XXI wieku. Ale wydatkom bez końca na inwestycje, które mają zadowolić FIFA i zagranicznych gości, towarzyszą cięcia w budżecie centralnym i w budżetach miast. Rośnie też inflacja, wzrastają ceny, biedni są eksmitowani z mieszkań położonych w pobliżu stadionów, marnotrawstwo i korupcja się szerzą. Słowem, standard. Podobnie było w Londynie podczas igrzysk i w Polsce podczas Euro, z tą różnicą, że w obu krajach panował obowiązkowy entuzjazm, zaś głosy krytyczne utonęły w morzu sportpropagandy.

W Brazylii demonstracje trwały przez cały okres zawodów, a podczas finału brazylijska policja szczelnym kordonem otoczyła stadion, żeby niezadowoleni nie zakłócali sportowej mszy. Wcześniej przeciwko demonstrującym użyto gazów łzawiących, pałek i gumowych kul, bo dla rządzących głównym zmartwieniem był międzynarodowy wizerunek kraju oraz komfort turystów i biznesu. Efekt był odwrotny. Publicysta „Evening Standard” Simon Jenkins napisał: „Brazylijskie społeczeństwo zrobiło to, na co Brytyjczykom nie starczyło odwagi podczas igrzysk olimpijskich. Powiedziało głośne NIE kosztownym i niepotrzebnym imprezom sportowym”. Tyle tylko że sprzeciwić się biznesowi sportowemu to jak wypowiedzieć wojnę religii.

SPORT UROJONY

Stwierdzenie, że sport, a głównie piłka nożna, jest religią, to banał. Są msze, bogowie, rytuały, świątynie, kapłani, tony religijnej prasy, mnóstwo telewizyjnej ewangelizacji i cała masa wiernych przeżywających zbiorowe uniesienia, urojenia i szukających transcendentnej prawdy. Poddani surowym przykazaniom swojego kościoła wierni daliby się zań pokroić, a religijnych przeciwników na prawdziwą ścieżkę wiary nawracaliby z chęcią i zapałem – może niekoniecznie ogniem i mieczem, ale kastetem i kijem baseballowym już jak najbardziej.

To zderzenie religii najlepiej widać na przykładzie fanów/wiernych dwóch największych futbolowych świątyń – Realu

Madryt i Barcelony. Ale nie tylko. Podobnie, choć na mniejszą skalę, walczą ze sobą wierni Cracovii i Wisły, Arsenalu i Tottenhamu, Liverpoolu i Manchesteru Utd. Wszystko to opiera się na nieuchwytnych naukowo emocjach, logice tłumu, tradycji, objawieniach – uczuciach dla tych, którzy nie dostąpili łaski sportowej wiary, kompletnie niezrozumiałych. I wszystko w porządku. W większości konstytucji człowiek ma przecież zapewnioną wolność wyznania, tyle tylko że sportowa wiara, jak każda religijna ortodoksja, powoduje automatyzm myślenia, osądu moralnego i postępowania. A problem polega na tym, że nas – sportowych ateistów – jest zbyt mało i nie mamy swojego Dawkinsa ani nawet Aristide’a Brianda i Pierre’a Rousseau, którzy byliby w stanie uzmysłwić wiernym sportowego kościoła, że biznes sportowy pasożytuje na środkach publicznych, gdyż międzynarodowym korporacjom, takim jak FIFA, UEFA, MKOl, ATP, WTA, EBU, WBA, i prywatnym firmom udającym organizacje sportowe – takim jak F1 – udało się, z niezwykłym powodzeniem wdrożyć model biznesowy, który urynkowił i zmonetyzował emocje plemienne. Sport-biz, który dzięki rozwojowi środków masowego przekazu pojawił się na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, niepostrzeżenie skompilował dwie wielkie, konkurujące ze sobą od paru tysięcy lat tradycje. Jedną z nich to utylitarna rzymska tradycja gladiatorska, będąca odwiecznym źródłem rozrywki dla mas, narzędziem politycznej manipulacji, wentylem niskich instynktów i biznesem. Opakował ją idealistycznym etosem przysposobionej przez barona de Coubertina wzniosłej greckiej idei olimpijskiej. I dziś sprzedaje cyrk pod marką etosu, jarmarczne sztuczki w opakowaniu filozofii, babę z brodą (albo z oszczepem, młotem, tyczką) jako boginię – wystawiając za to astronomiczne rachunki, które zazwyczaj ochoczo płaci państwo.

ZYSK BEZ RYZYKA

Trudno zrozumieć, gdzie tkwi siła oddziaływania sportowych organizacji, dzięki której władze wszystkich niemal krajów na świecie zaciekle walczą o możliwość zorganizowania u siebie –

za olbrzymie pieniądze – wielkich imprez. Dzięki badaniom i doświadczeniom wiadomo przecież, że typowe zakłęcia, którymi mami się lud – o zyskach z turystyki, wzroście prestiżu, inwestycyjnych przyspieszeniach i nowych miejscach pracy – nie mają żadnego przełożenia na rzeczywistość. Potrzeba było 30 lat, żeby spłacić długi zaciągnięte na olimpiadę w Montrealu z 1976 r. Olimpiada z 2004 r. kosztowała sto razy więcej, niż zakładano, i przyczyniła się do bankructwa Grecji. Stadiony w Portugalii i w Polsce po odbytych tam mistrzostwach Europy w piłce nożnej – kosztujących o wiele mniej niż MŚ czy olimpiady – generują głównie straty. Igrzyska olimpijskie w Londynie oprócz olbrzymich wydatków i braku jakichkolwiek zysków dla 450 osób zakończyły się przymusową eksmisją, a czynsze w okolicach wioski olimpijskiej wzrosły piętnastokrotnie.

Raport ONZ opublikowany w 2008 r. pokazał, że w ciągu dwudziestu lat igrzyska olimpijskie spowodowały eksmisję dwóch milionów ludzi i pogorszenie warunków socjalnych tym, którzy mieli pecha mieszkać w okolicach sportowych świątyń. Do tego dochodzi zazwyczaj zawieszenie praw i regulacji obowiązujących w krajach, które goszczą u siebie sportowców. I to zarówno w kwestii podatków, jak i bezpieczeństwa. Na polecenie sport-bizu ograniczane są prawa do manifestacji, protestu, przemieszczania się i zgromadzeń czy też wolności słowa. W suwerennych państwach tworzą się eksterytorialne korporacyjne wyspy, autorytarne raje podatkowe i państwka policyjne dotowane przez gospodarzy.

Tymczasem rządzący o przychylność sportowych działaczy walczą jak wściekłe psy. Na przykład Euro 2020 chciały zorganizować u siebie m.in. Azerbejdżan z Gruzją, kraje pojugosłowiańskie i Rumunia z Bułgarią, czyli państwa, w których stadionowe inwestycje na liście priorytetów powinny znaleźć się na odległych miejscach. Być może czar sportowych imprez polega na tym, że dla polityków areny sportowe to ostatnie miejsca, gdzie można publicznie potwierdzić przynależność do plemiennej wspólnoty. I autoryzować ją w starciu z innymi plemionami.

Otulić się flagą, pokazać narodową dumę i popływać przez chwilę na wysokiej patriotycznej fali. Jednak za te chwilowe uniesienia elit i wyznawców sport-religii płacimy wszyscy, bo państwo zamiast sportu powszechnego i kultury fizycznej, dzięki której niektórzy są zdrowsi, wspiera korpo-sport, przez który publiczne finanse są chore.

Kilka lat temu Terry Eagleton – brytyjski filozof, autor „Końca teorii” – postulował zakazanie sportu jako „współczesnego opium dla ludu”. To się nie uda. Ale rozdział państwa od sport-kościoła jest możliwy. Musimy tylko poczekać na współczesnego Aristide’a Brianda i Pierre’a Rousseau.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)